

NA PROSCENIUM

Pisać o samym Dürrenmacie zna-
czyłoby naruszyć licencję kilku ho-
norowych znawców pisarza oraz
tłumaczy, którzy jego sekret obja-
wili światu zapewniwszy sobie u-
przednio prawa wyłączne. Latwo o
polemiki pozorą, a po co? Dürren-
matt został tak z a n a l i z o w a n y,
że każde następne wkroczenie w
tak zwaną problematykę pisarza
pomnożyłoby tylko ilość obiegowych
ogólników. Pytania jakie postawio-
no uprzednio, prowadziły do rozue-
selających wniosków z racji komi-
cznej powagi, z którą je zadawano.
Dostę to jałowe. Bo czy Dürren-
matt jest moralistą? Naturalnie.
Czy jest cyniczny? Także. Pokazu-
je dramat moralny współczesnego
człowieka? Pokazuje. Absurd tkwią-
cy w urządzeniach świata? Tak.
Wątpi w sens obyczajów i praw?
No pewno. Ożywia potrzebę buntu?
Również. A w ogóle pisarz to trud-
ny, splatany i intelektualny. Ma
talent i poczucie humoru. Ponieważ
tego wszystkiego dowiedziałem się
od innych, bardziej powołanych do
egzegezy, sam zadowolam się pa-
ma zdaniami arcymistrza w rze-
czonym rodzaju, autora monografii
o doktorze z Colombo, który na u-
niwersytecie Columbia uzyskał pro-
fesurę wyższej analizy, by resztę
życia spędzić na ściganiu dra prof.
syntetologii uniwersytetu w Leydzie,
rodem z południowych okolic Anna-
mu. Jak wiadomo: „Zderzenie
dwóch rozpedzonych, uczonych —
katastrofa, rzędu największych ko-

lejowych katastrof — nastąpiła za-
pełnie przypadkowo w lokalu
pierwszorzędnej restauracji hotelu
„Bristol” w Warszawie”. Sytuację
wysoko dramatyczną intelektualnie
pogorszyła obecność profesorowej,
do której wściekły analityk przypu-
ścił szturm. I tak oto: „Pani Fili-
dor całkiem zbezczeszczona próbo-
wała resztkami sił wciągnąć rękaw-
iczki, ale, rzecz wprost nie do
wiary, doktor z Colombo zrobił jej
na przedce analizę moczu i zarykując
się, wykrzyknął zwycięsko — H.O.C.,
TPS, trochę leukocytów i białka!”
Protokół podpisali: T. Poklewski,
T. Roklewski i Antoni Świsłak, asy-
stenci.

Co się zaś tyczy Friedricha Dür-
renmatta udzielił on dosyć wyczer-
pujących komentarzy do własnych
sztuk, w rozmowach z dziennika-
rzami i programach. W zasadzie, to
pisarz, który sam się zdefiniował.
We wszystkim, co ogłosił, formuła-
je zdecydowane i oczywiste preten-
sje do świata trawionego obsesją
końca, kryzysem wartości, psycho-
zą atomowej wojny. Ma na tyle
poczucia taktu i przenikliwości, by
łączyć tragizm z komedią — bezsil-
ności słowa, by nie popadać w
werbalizm szkoły moralistów, tyle
humanistycznej odwagi, by nie za-
wierać swego teatru grze instynkt-
ów. Nic nie upoważnia do lekce-
ważenia; Dürrenmatt ma świadom-
ność powagi chwili i cokolwiek się
jeszcze stanie trzeba pamiętać, że
odezwał się w porę. W widocznym

skupieniu spełnia swe zadanie, choć
nie przecenia swoich środków, stąd
rys ujmujący dobroduszości, star-
czego rozweselenia światem, który
umysł prymitywnie pobudza już
tylko do wścieklej powagi. Jako
Szwajcar połączył w naturalny spo-
sób niemiecki teatr dyskursywny i
dydaktyczny z francuską komedią.

REŃSKIE GALIZOWANE

Bogdan Wojdowski

Dürrenmatt galizuje kwaśne wina.
Odnawiając na scenie gust świadom-
ej siebie secesji, smak środków
skłóconych, potrzebę anachronizmu,
odrodził rodzaj parodii pseudohi-
storycznej. To wcale nie mało! Za-
rzut o mistyfikację, jaki padł ostat-
nio w prasie, jest zbyt daleko po-
suniętą odmową zaufania. Przyszły
historyk pewno będzie musiał ro-
zważyć o ile secesja jako poetyka
jest przejawem bogactwa, a w ja-
kim stopniu skutkiem nieobecności
trwałego porządku filozoficznego.
Spór taki mógłby się toczyć o pro-
porcje, i tylko o proporcje. Tego
dramaturga ze współczesnej trady-
cji teatralnej wykluczyć się nie da,
a panika części krytyki stołecznej

świadczy tylko o przesadnych ra-
chubach i braku zimnej krwi.
„Anioł zstąpił do Babilonu” naj-
wyraźniej ujawnia związki z brech-
towskim skeczem filozoficznym. W
formie orientalnej przypowieści szu-
ka pisarz ludowych miar. I znajdu-
je jakiś optymizm oparty na ple-
bejskim doświadczeniu, który wie-

stare; Wolter dla podobnych celów
szukał kostiumu orientalnego. Je-
steśmy blisko powiastki filozoficz-
nej o królu Nabuchodonozorze prze-
mienionym w byka, o rozstropnym
Mambresie i pięknej Amazydzie.
„Wszystko zważywszy, zaczynam
przypuszczać, że ten świat stoi
sprzecznościami: Rerum concordia
discors, jak powiedział niegdyś w
swoim języku mój mistrz Zoroas-
ter”. Konrad Swinarski miał jesz-
cze raz okazję wystawić Brechta,
tylko Brechta, chociaż trochę gor-
szego Brechta. Aby już nie było
żadnych wątpliwości usunął mak-
ama, arabskie przypowieści wierszo-
wane, w których żebrak Akki opo-
wiała o swoim nienajdźniejszym
pochodzeniu, utracjuszowskiej mło-
dości i bankructwie interesu ojca
pożartego przez firmę Enggibi i
syn. No naturalnie, bo żebrak Akki
jest szwajcarskim drobnomieszcza-
ninem zdegradowanym do pozycji
filozofa. Ale to by znów przeczyło
zasadzie jednoznaczności, maciło
porządek brechtowskiemu moralite-
tu. Oto pierwsze pociągnięcie reży-
sera. Następnie, lekką ręką e p i k a
pchnął na scenę tłum statystów,
którzy wypełnili tło, zagęścili kolo-
ryt rodzajowy, wprowadzili na sce-
nę lumpiarstwo i gest ulicy. W tym
towarzystwie song ma ostrą, pikant-
ną, nieco wulgarną barwę, poetycki
koncept — nieoczekiwane owianacki
sznyt. Trochę więcej niż Dürren-
matt, i trochę mniej. Mamy więc
do czynienia w robocie Swinarskie-
go ze świadomą adaptacją stylisty-
czną. Ewa Starowieyska z Konra-
dem Swinarskim skomponowali sce-
nografię i kostium oparte na zasa-

dzie anachronizmu — wierni w tym
Dürrenmattowi — zasugerowali nam
świat, gdzie sarkofag starobabiloń-
ski stoi w pełnej zgodzie z latar-
nią gazową, przeszło mostu kolejow-
ego jest stosownym schronieniem
współczesnego poety i starożytnego
żebraka, a w każdej chwili da się
wymienić na tron. Zresztą, za tu-
kiem prosceniowym płynie rzeka
Eufrat oddzielając widowię od
grających. W takim miejscu anioł
może zstąpić bez obawy w biały
dzień, zwłaszcza jeśli odwrót do
nieba ma zapewniony. Winda cze-
ka! To paradne, chociaż nie nowe,
podobnym środkiem lokomocji po-
ruszali się bogowie Brechta w styn-
nej inscenizacji „Dobrego człowie-
ka z Seczuanu”.
Aleksander Dzwonkowski udźwi-
gnął Dürrenmatta, Brechta i Konra-
da Swinarskiego. No pewno, żebrak
Akki najwyraźniej jest przeznaczony
do tego, aby dźwigać na sobie
wiele — tego zdania jest autor, in-
scenikator i publiczność. Ktoś o
tym świecie musi stanowić, wycho-
dzi na to, że ostatni żebrak w Babi-
lonie. W tym świecie, gdzie usta-
wicznie grozi nadmiar propozycji, że-
brak Akki, Dzwonkowski musi być
gotowy do ich odparcia, to jego rola.
Trochę mniej uległości niż się na po-
zór wydaje, więcej inwencji, preme-
dytacji rzemiosła żebraczego, pogar-

(Dokończenie na str. 8)

„Współczesność”

5

(Dokończenie ze str. 5)

dy dla fuszerki żebraków z Niniwy.
W tym Babilonie, gdzie wszystko
jest tak nieważkie, zabawne, a
tak zabawne, Akki jest pierwszym
człowiekiem, który pojął, że nie do
niego należy nas rozweselać. Ale
nie ma też powodu do ostatecznego
z wątpienia; świat już trwa tak dłu-
go, tak długo — że musi być w tym
jakiś sens, no a jeśli nie, to cóż
my ludzie możemy na to, do dia-
bla, poradzić! Aleksander Dzwon-
kowski mówi trochę w imieniu poe-
tów, trochę od siebie, trochę prze-
ciwko Nabuchodonozorowi, a trochę,
wbrew skeczowi, który wygląda
spod literackiego konceptu i styliza-
cji. Przypomniały mi się dawne
kreacje Aleksandra Dzwonkowskie-
go — w Gogolu, Brechcie, Szekspi-
rze, „Wizycie starszej pani”, ale to
nie byłoby na temat. Jakoś tak o-
statnio jest w naszych teatrach, że
ilekroć przychodzi ochota pisać o
aktorze okazuje się, że to nie na
temat — inscenizacji...

Bolesław Plotnicki, jako Anioł w
windzie umiał się utrzymać na po-
ziomie emfatycznego konferansjera,
i z tej wysokości, z jakiej ogląda
świat, okazuje ciągły dystans liry-
czno-intelektualny. Odległe przed-
sięwzięcia o charakterze turystycz-
nym okazuje się wyrabiają przy-
tomny optymizm i nie skla-
niają do zbytniego zaciekania
się w drobne sprawy ludzkości.
W jego kwestiach jest mnóstwo ko-
mentarza odautorskiego, dużo astro-
nomii, i trochę poezji wcale nie o-
czywistej. Zastanawiam się tylko
nad jednym, czy teatr Brechta oglą-
dany z mgławicy Andromedy, nie
jest bardziej zabawnym niż to akto-
rowi zalecono okazać. Trudności
rozumiem, rezultatów nie winszuję.
Publiczność jest innego zdania, oka-
zuje się, że winda jest znakomitą
środkiem do komunikowania się z
ludzkością.

Kurrubi, Janina Traczykówna zo-
stała rzucona przez los do Babilo-
nu, aby gotować zupę żebrakowi
Akki i wyznawać miłość królowi
ziem nad Eufratem. Jeśli już o to
chodzi, szkoda tak pięknej i pro-
stej dziewczyny dla Nabuchodono-
zora. Rola wymaga ciągłej gry li-
rycznej, co w burlesce nie należy
do rzeczy łatwych ani wdzięcznych.
W ogóle, kazać kobiecie w Babilo-
nie grać świętą naiwną, to wyma-
ganie dosyć wygórowane i nieobli-
czalne. Janina Traczykówna mężnie

ty w tłum postaci rodzajowych Go-
golewskiego nie mógł stworzyć posta-
ci Dürrenmatta, żalosnej, groźnej,
tragicznej. Od tego miejsca zresztą
zaczyna się w przedstawieniu czy-
sty Brecht.
A więc Wanda Łuczycza, hetera
Tabtum z punktu chwyciła, o co
może chodzić reżyserowi i zdobyła
się na tandetny gest znany w Babi-
lonie lub Berlinie Brechta, co na
jedno wychodzi. Dodano jej dwie
Taxi-girls, ale w stroju jaki
znala ulica berlińska lat dwudzie-

tykwariat. Jest już w drodze do
Teb. Edmund Fetting, Pierwszy Mi-
nister, otrzymał w Babilonie stano-
wisko zaszczytne, pierwszorzędnej
wagi, chociaż najwyraźniej nad Eu-
fratem pierwsi ministrowie niewie-
le znaczą, i niewiele też od nich
może zależeć. To już drugi epizod,
w jakim widzę aktora, spotkanie
z nim będzie dla warszawskiej pu-
bliczności pięknym dniem.

Friedrich Dürrenmatt za przykła-
dem i metodą znanego wszystkim dra
Gala polepsza, galizuje kwaśne wina.
Reńskie galizowane ma nawet nie-
zły smak, odrębny trochę bukiet
łatwy do rozpoznania. Chcieć wska-
zywać jego źródła inspiracji, szko-
łę znaczą pozbawiać go odrębności,
pewnej odmiany stylu, ładu filozo-
ficznego czy tylko jego pozorów. To
mnie obojętne. Dürrenmatt może od
biedy być Brechtem, tylko gor-
szym. Ostatecznie, Konrad Swinar-
ski miał prawo do tego insceniza-
cyjnego kawału, pytanie o ile to ce-
lowe. W wyniku: zderzyły się ze
sobą dwie stylizacje, literacka i re-
żyserska, biegnące w przeciwnych
kierunkach. Nic takiego się nie sta-
ło, i nie mam prawa nikogo winić, ani
Dürrenmatta, ani Brechta, ani Kon-
rada Swinarskiego. Połączył ich
przypadek i splatał figla; jako pro-
blem teatralny to trochę komiczne.
Reńskie wino ścierpło, bo nie gali-
zowane. To samo wyraził wam pro-
ste, arytmetyczne zadanie: Frie-
drich Dürrenmatt plus Konrad
Swinarski równa się Bertolt Brecht.
Tylko że Bertolt Brecht plus Kon-
rad Swinarski to jeszcze nie równa
się Dürrenmattowi.

BOGDAN WOJDOWSKI

Friedrich Dürrenmatt: „Anioł zstąpił
do Babilonu”. Reżyseria: Konrad Swi-
narski. Scenografia: Ewa Starowieyska
i Konrad Swinarski. Przekład: Irena
Krzwicka i Jan Garewicz. Teatr Dra-
matyczny miasta Warszawy. Prapremie-
ra w lutym 1961.

REŃSKIE GALIZOWANE

wywiązała się z zadania. Rezultatu
winszuje, trudności nie zazdroścę.
W najlepszym razie, wysilek wło-
żony musi przerosnąć sens roli.

Nabuchodonozor, Ignacy Gogo-
lewski przekonywająco przegrał w
przebraniu zawody żebracze z Ak-
kim. Kiedy zrzucił czerwoną brodę
i płaszcz okazał się jednak dosyć
groźnym i dosadnym władcą. Tro-
chę przesady i zbytniej dosłowności:
Styl inscenizacji spychał go jednak
dalej od roli króla Heroda, czynił
z niego postać rodzajową. Nie
wiem, czy to najulaściwsze. „Dla-
czego niebo nie zna samotności Na-
buchodonozora? Dlaczego wyszydza
jednocześnie mnie, żebraka, i Na-
buchodonozora, króla?” Zepchnię-

stych, a więc w epoce „Opery za
trzy grosze”. Feliks Chmurkowski,
bankier Enggibi, był kapitalistą ze
sztychu Georga Grosza, jako taki
musiał grać w futrze i z cygarem
Józef Nowak, policjant, Roman
Kłosowski, robotnik, Zdzisław Leś-
niak, Gimil, sprzedawca oślego
mleka — wzbogacili widowisko ro-
dzajowym humorem, ale nie wnie-
śli już nic nowego. Im dalej od
Dzwonkowskiego, tym więcej Bre-
chta. Wpadł też jak po ogień do
Babilonu Gustaw Holoubek, Uro-
czysty, rozbawiony własną rolą,
jeszcze jeden obowiązek zwałił
na Dzwonkowskiego, a potem z
z równie widoczną satysfakcją za-
mienił czerwone rękawiczki na an-